

Wina, Nieczyste Sumienie i tym podobne

Autor tekstu: Nietzsche

12.

Tu jeszcze słowo o pochodzeniu i celu kary — dwa problematy, które rozpadają się, lub rozpaść się powinny: niestety, zlepia się je zwykle w jedno. Bo jakże postępują w tym wypadku dotychczasowi genealogowie moralności? Naiwnie, jak zwykle postępowali — : wynajdują jakiś „cel” w karze, na przykład zemstę lub odstraszenie, umieszczają potem dobrodusznie ten cel na początku, jako causa fiendi kary — i rzecz gotowa. Lecz „cel w prawie” przydać się może historii powstawania prawa dopiero na samym ostatku: niema raczej dla żadnego rodzaju historii zgoła ważniejszego twierdzenia nad owo, które z takim trudem zdobyto, lecz które też w i n n o b y ł o być zdobyte, — to jest, że przyczyna powstania jakiejś rzeczy i jej ostateczna użyteczność, jej rzeczywiste użytkowanie i wciągnięcie w system celów, odległe są toto coelo od siebie; że co jest, co jakimkolwiek sposobem doszło do skutku, bywa przez moc odeń wyższą wykładane ciągle pod kątem nowych zamysłów, na nowo zagarniane, w nowy pożytek przekształcane i kierowane; że wszystko, co dzieje się w świecie organicznym jest p r z e m o ż e n i e m, o p a n o w a n i e m, a wszelkie znów przemożenie i opanowanie nowym wytłumaczeniem i przyrządzeniem, przy którym dotychczasowy „sens” i „cel” z konieczności zaciemnić się lub zgoła zagasnąć musi. Choćby się najlepiej pojęło p o ż y t e k jakiegoś organu fizjologicznego (lub też instytucji prawnej, obyczaju społecznego, zwyczaju politycznego, formy w sztukach lub w kulcie religijnym), to jeszcze tem samem nie pojęliśmy nic pod względem jego powstania. Być może, że będzie to starszym uszom brzmieć niewygodnie i nieprzyjemnie, — gdyż oddawna sądzono, że dający się wykazać cel, pożyteczność pewnej rzeczy, pewnej formy, pewnego urządzenia tłumaczy także powód ich powstania, że oko sporządzone jest d o patrzenia, ręka d o chwytania. Tak też wyobrażano sobie i karę, jako wynalezioną d o karania. Lecz wszystkie cele, wszystkie pożytki są tylko o z n a k a m i tego, że wola mocy stała się panią czegoś mniej mocnego i wycisnęła sobą na nich znaczenie funkcji; i całe dzieje jakiejś „rzeczy”, jakiegoś organu, jakiegokolwiek zwyczaju mogą być w ten sposób dalszym ciągiem łańcucha znaków, ciągle nowych tłumaczeń i przystosowań, których same przyczyny nie muszą znajdować się nawet między sobą w związku przyczynowym, raczej w danym razie przypadkowo tylko po sobie następują i zastępują się. „Rozwój” jakiejś rzeczy, jakiegoś zwyczaju, jakiegoś organu nie jest w ten sposób bynajmniej postępowaniem (progressus) ku pewnemu celowi, tem mniej logicznym i najkrótszym, najmniejszym nakładem sił i kosztów osiągniętym postępowaniem, — jeno kolejnym następstwem głębiej lub płycej sięgających, mniej lub więcej wzajemnie niezależnych, odgrywających się w nim procesów przemagania, z dodatkiem oporu stosowanego każdym razem, usiłowań zmian formy w celu obrony i reakcji, i wyników udanych przeciwdziałań. Forma jest płynna, lecz „sens” bardziej jeszcze... Nawet wewnątrz każdego poszczególnego organizmu nie dzieje się inaczej: z każdym istotnym wzrostem całości zmienia się też „sens” poszczególnych organów, — w pewnych razach częściowe ich zanikanie, ich liczebne zmniejszanie się (na przykład przez niszczenie członków pośrednich) może być znakiem wzrastającej siły i doskonałości. Chciałem rzec: także częściowe b e z u ż y t e c z n i e n i e, niedołączenie i zwyrodnienie, zatracanie się sensu i celowości, krótko, śmierć, należą do warunków rzeczywistego progressus, który jawi się zawsze w postaci woli i drogi ku w i ę k s z e j m o c y i osiągniany bywa zawsze kosztem licznych mniejszych mocy. Wielkość „postępu”: m i e r z y się nawet ilością tego, co musiało mu być p o ś w i ę c o n e m; ludzkość, jako masa poświęcona udaniu się jednej s i l n i e j s z e j species człowieka — t o b y był postęp... Podnoszę ten główny punkt widzenia metodyki historycznej tem bardziej, że sprzeciwia się właśnie panującemu instynktowi i smakowi czasu, któryby raczej zgodził się jeszcze z bezwzględną przypadkowością, ba, z mechaniczną bezmyślnością wszystkiego, co się dzieje, niż z teorią, odgrywającą się we wszystkim, co się dzieje, w o l i m o c y. Demokratyczna idyosynkrazia do wszystkiego, co panuje i chce panować, nowoczesny m i z a r c h i z m (aby ukuć złe słowo na złą rzecz) przemienił i przebrał się z czasem do tak duchowego i najbardziej duchowego stopnia, że dzisiaj krok za krokiem wciska się, ś m i e się wciskać już w najsurowsze, pozornie najbardziej przedmiotowe umiejętności; ba, zdaje mi się, że stał się już panem całej fizjologii i nauki o życiu, ku jej szkodzie, jak się samo przez się rozumie, ukradłszy jej pojęcie zasadnicze, pojęcie właściwej a

k t y w n o ś c i. W zamian wysuwa się pod naciskiem owej idyosynkrazyi na pierwszy plan „przystosowanie”, to znaczy aktywność drugiego rzędu, czystą reaktywność, nawet życie samo określono jako zawsze celowe wewnętrzne „przystosowywanie” do zewnętrznych okoliczności (Herbert Spencer). W ten sposób jednak nie rozumie się istoty życia, jego w o l i m o c y; w ten sposób przeocza się zasadnicze pierwszeństwo, należne spontanicznym, zaczepnym, przekraczającym, wykładającym i kierującym w sposób nowy, kształtującym siłom, których działanie dopiero sprowadza „przystosowanie”; w ten sposób zaprzeczono w organizmie nawet władczej roli najwyższych funkcjonariuszów, w których wola życiowa objawia się aktywnie i kształtująco. Przypomnijmy sobie, co zarzucał Huxley Spencerowi — jego „nihilizm administracyjny”: lecz chodzi jeszcze o coś w i ę c e j, niż o „administrowanie”...

13.

Aby więc wrócić do przedmiotu, to jest do k a r y, należy w niej rozróżniać dwie rzeczy: najpierw to, co w niej jest względnie t r w a ł e, zwyczaj, akt, „dramat”, pewną surową kolejność procedur, z drugiej strony to, co w niej płynne, sens, cel, oczekiwanie, które się łączy z wykonaniem takich procedur. Przytem przypuszczamy tylko, per analogiam, wedle wyłuszczonego właśnie zasadniczego punktu widzenia metodyki historycznej, że procedura sama będzie czemś starszem, wcześniejszem, niż jej użytkowanie do kary, że dopiero w ł o ż o n o ją w procedurę i podsunęto jako tej procedury tłumaczenie (dawno istniejącej, lecz w innym znaczeniu używanej), słowem, że rzecz n i e tak się ma, jak nasi naiwni genealogowie moralności i prawa dotąd przypuszczali, mniemając wszyscy razem, że procedurę w y n a l e z i o n o dla celu kary, tak jak sobie niegdyś wyobrażano rękę wynalezioną celem chwywania. Co się tyczy jednak owego drugiego pierwiastku w karze, płynnego, jej „sensu”, to w późniejszym stanie kultury (na przykład w Europie dzisiejszej) pojęcie „kary”: nie przedstawia faktycznie wcale już jednego sensu, lecz całą syntezę „sensów”: dotychczasowe dzieje kary wogóle, dzieje jej wyzyskiwania do najróżniejszych celów, krystalizują się ostatecznie w pewien rodzaj jedności, trudno rozpuszczalnej, trudnej do analizowania i, co podnieść trzeba, n i e d a j ą c e j s i ę w c a l e z d e f i n i o w a ć. (N i e m o ż l i w ą jest dziś rzeczą powiedzieć dokładnie, d l a c z e g o właściwie się karze: wszystkie pojęcia, w których się cały proces semiotycznie streszcza, uchylają się od definicyi; definiować daje się tylko to, co nie ma żadnych dziejów). Natomiast w pewnym wcześniejszym stadyum okazuje się jeszcze owa synteza „sensów” bardziej do rozwikłania, a także bardziej podatna zmianie; można zauważyć jeszcze, jak w każdym poszczególnym przypadku pierwiastki syntezy zmieniają swoją wartościowość i wedle tego inaczej się porządkują tak, że raz ten, to znów ów pierwiastek kosztem pozostałych wybija się na czoło i dominuje, a nawet w pewnych razach jeden pierwiastek (może cel odstraszenia) zdaje się unicestwiać całą resztę składników. Aby dać przynajmniej wyobrażenie, jak niepewny, jak następczy, jak przypadkowy jest „sens” kary i jak jedna i ta sama procedura ze względu na zasadniczo różne zamysły może być różnie użytkowana, wytłómaczona, przykrojona, niechaj posłuży tu schemat, do którego doszedłem na podstawie małego stosunkowo i przypadkowego materiału. Kara jako unieszkodliwienie, jako przeszkodzenie dalszemu szkodzeniu. Kara jako odplacenie poszkodowanemu szkody, w jakiejby formie (także w uczuciowym wynagrodzeniu). Kara jako izolowanie zakłócenia równowagi, by zapobiec rozszerzeniu się zakłócenia. Kara jako wpajanie strachu przed tymi, którzy karę wyznaczają i wykonywają. Kara jako rodzaj wyrównania za te korzyści, których przestępca dotychczas używał (na przykład, jeśli się go używa jako niewolnika w kopalniach). Kara jako wyłączenie pierwiastka zwyrodniałego (w danych razach całej gałęzi, jak wedle prawa chińskiego: więc jako środek do utrzymania czystości rasy i utrzymania tęgości typu społecznego). Kara jako uroczystość, to jest jako pogwałcenie i wyszydzenie obalonego nakoniec wroga. Kara jako wyrabianie pamięci, czy to temu, który karę ponosi — tak zwana „poprawa”, czy to świadkom egzekucyi. Kara jako honorarium, zastrzeżone ze strony władzy, która chroni złoczyńcę przed wybujałością zemsty. Kara jako kompromis z naturalnym stanem zemsty, o ile ten ostatni utrzymuje się jeszcze dzięki możliwym rodom i o ile one roszczą sobie doń przywileje. Kara jako wypowiedzenie wojny i środek przeciw wrogowi pokoju, prawa, porządku, zwierchności, wrogowi, którego zwalcza się środkami, jakie wojna właśnie daje w ręce, jako niebezpiecznego dla społeczności, jako łamiącego umowę, co do jej warunków, jako buntownika, zdrajcy i pokojolomcę.

14.

Lista ta jest niewątpliwie niezupełna; kara jest jawnie przeładowana pożytecznościami wszelkiego rodzaju. Tem snadniej odjąć jej można użyteczność *d o m n i e m a n a*, która jużci uchodzi w świadomości ludowej za najistotniejszą. Wiara w karę, chwiejąca się dziś z licznych powodów, znajduje właśnie w niej ciągle najsilniejszą swą podporę. Kara posiadać ma tę wartość, że budzi *p o c z u c i e w i n y* w winnym, szuka się w niej właściwego instrumentum owej duchowej reakcji, która zwie się „nieczystym sumieniem”, „wyrzutem sumienia”. Lecz tem samem wykracza się nawet ze względu na dziś jeszcze przeciw rzeczywistości i psychologii, a cóż dopiero ze względu na najdłuższe dzieje człowieka, jego przeddzieje! Prawdziwy wyrzut sumienia jest właśnie wśród zbrodniarzy i skazańców czemś niezmiernie rzadkiem; więzienia, domy poprawy *n i e* są wylęgarnią, w której ta species toczącego robaka najchętniej się udaje; — w tem zgadzają się wszyscy sumienni postrzegacze, którzy w licznych wypadkach sąd tego rodzaju dość niechętnie i przeciw własnym wydają życzeniom. Naogół licząc, kara hartuje i ostudza; koncentruje; zaostrza poczucie osamotnienia; wzmacnia siłę oporu. Jeżeli się zdarzy, że złamie energię i wywoła nędzne ukorzenie i poniżenie się, to wypadek taki jest bezsprzecznie jeszcze mniej pokrzepiający, niż średnie działanie kary, które charakteryzuje sucha, ponura powaga. Gdy zaś pomyślimy jeszcze o owych tysiącleciach *p r z e d* dziejami człowieka, to śmiało możemy wydać sąd, że właśnie kara najbardziej *p o w s t r z y m a ł a* rozwój poczucia winy, — przynajmniej ze względu na ofiary, na których sobie przemoc karząca szukała upustu. Nie ważmy mianowicie lekce tego, jak dalece właśnie widok sądowych i wykonawczych procedur nawet przeszkadza przestępcy odczuwać czyn swój, rodzaj swego postępu jako pogardy godny *s a m w s o b i e*: widzi on bowiem zupełnie ten sam rodzaj postępu spełniany w służbie sprawiedliwości i nazywany wówczas dobrym, z czystym sumieniem spełniany: więc szpiegostwo, podejście, przekupstwo, zastawianie sidła, cała frantowska i szczwaną sztukę policyantów i oskarżycieli, następnie zasadnicze, nawet afektem nie uniewinnione grabienie, pogwałcenie, lżenie, więzienie, torturowanie, mordowanie, tak jak się w różnych rodzajach kary przebijają, — wszystko to więc jako czynności wcale przez sędziów nie napiętnowane pogardą, ani potępione *s a m e w s o b i e*, lecz tylko w pewnym względzie i pewnym zużytkowaniu. "Nieczyste sumienie", ten najbardziej niesamowity i zajmujący kwiat naszej ziemskiej roślinności, *n i e* wyrósł na tym gruncie, — w rzeczywistości nie istniało przez najdłuższy okres czasu nawet w świadomości sądzących, karzących *n i c*, coby wyrażało, że się ma do czynienia z „winnym”. Tylko ze szkodnikiem, z nieodpowiedzialną częścią przeznaczenia. I nawet ten, na którego później spadała kara, znowu jako część przeznaczenia, nie doznawał przytem żadnej innej „wewnętrznej udręki”, jak kiedy nastąpiło coś nieobliczalnego, jakiś straszny wypadek w naturze, oberwanie się miażdżącej skały, przeciw czemu na nic wszelka walka.

15.

Uświadomiło się to raz w sposób podchwytliwy Spinozie (ku zmartwieniu jego wykładaczy, którzy porządnie się *w y s i l a j a*, by go w tem miejscu nie rozumieć, na przykład Kuno Fischer), gdy pewnego popołudnia, kto wie, o jakie ocierając się wspomnienie, zajęty był pytaniem, co jemu samemu właściwie pozostało z sławnego *morsus conscientiae* -, jemu, który dobro i zło wygnał między urojenia ludzkie i gniewnie bronił czci swego „wolnego” Boga przeciw bluźniercom, utrzymującym, że Bóg czyni wszystko *sub ratione boni* („lecz toby znaczyło poddawać Boga przeznaczeniu i byłoby zaiste największą z wszystkich niedorzeczności ” -). Świat cofnął się znowu dla Spinozy do stanu owej niewinności, w której spoczywał przed wynalezieniem nieczystego sumienia: cóż zatem pozostało z *morsus conscientiae*? "Przeciwieństwo *gaudium*, rzekł sobie w końcu, — smutek, połączony z wyobrażeniem rzeczy minionej, która wypadła przeciw wszelkiemu oczekiwaniu". Eth. III. propos. XVIII, schol. I. II. *N i e i n a c z e j n i ż S p i n o z a* przez ciąg tysiącleci odczuwali popełnione „przestępstwo” złoczyńcy, których kara dosięgła: "coś tu wbrew przypuszczeniom poszło źle", a *n i e*: „tego nie powinienem być czynić” — poddawali się karze, jak się poddaje człowiek chorobie, nieszczęściu lub śmierci, z tym odważnym fatalizmem bez buntu, dzięki któremu na przykład dziś jeszcze Rosyanie w szafowaniu życiem wyżej stoją od nas, mieszkańców Zachodu. Jeśli istniała wówczas krytyka czynu, to czyn poddawała krytyce roztropność: bez wątpienia, musimy szukać właściwego *s k u t k u* kary przede wszystkim w zaostrzeniu roztropności, w przedłużeniu pamięci, w woli przystępowania nadal do dzieła

ostrożniej, nieufniej, tajemniej, w zrozumieniu, że dla wielu rzeczy jest się raz na zawsze za słabym, w pewnym polepszeniu samooceny. Co naokół osiągnąć można przez karę, w człowieku i zwierzęciu, to pomnożenie obawy, zaostrenie rozsądku, opanowanie żądz: w ten sposób kara o b ł a s k a w i a człowieka, nie czyni go jednak „lepszym”, — możnaby z większym prawem jeszcze twierdzić coś przeciwnego. („Każdy mądry po szkodzie”, mówi lud: o ile szkoda czyni mądrym, o tyle i złym. Na szczęście czyni dość często głupim).

16.

W tem tu miejscu nie mogę uniknąć, by własnej swojej hipotezie o początku „nieczystego sumienia” nie dopomóc do pierwszego tymczasowego wyjawu nie łatwo zdobyć dla niej posłuch, - chce ona, by długo ją przemyślać na jawie i we śnie. Uważam nieczyste sumienie za ciężkie chorzenie, w które człowiek wpaść musiał pod naciskiem owej najbardziej zasadniczej z wszystkich przemian, jakie wogóle przeżył, — owej przemiany, gdy znalazł się ostatecznie zamkniętym w żakietem kole społeczeństwa i pokoju. Jak zwierzętom wodnym, gdy zmuszone były albo stać się zwierzętami lądowymi, albo zginąć, tak samo działo się tym półzwierzom dziczy, przystosowanym szczęśliwie do wojny, włóczęgi i przygód, — nagle instynkty ich pozbawione zostały wartości i „zawieszono”. Miały odtąd chodzić na nogach i „nosić same siebie”, gdy dotąd nosiła je woda. Straszliwe brzemię ciążyło na nich. Do najprostszych zatrudnień czuły się niezgrabne, brakło im ich starych przewodników po tym nowym nieznanym świecie, regulujących, nieświadomie a pewnie wiodących popędów, — zostały ograniczone do myślenia, wnioskowania, obliczania, kombinowania przyczyn i skutków, te nieszczęśniki, ograniczone do s w e j „świadomości”, do swego najbiedniejszego, najzawodniejszego organu! Zdaje mi się, że nigdy nie istniało na świecie podobne poczucie nędzy, takie ołowiane zniechęcenie, — a nadto owe stare instynkty nie przestały od razu stawiać swych wymagań! Tylko że trudno i rzadko można było czynić po ich woli: naogół musiały szukać sobie nowych i jakby podziemnych zadowoleń. Wszystkie instynkty, nie mogące wyładować się na zewnątrz, z w r a c a j ą s i ę w e w n ą t r z — oto co nazywam u w e w n ę t r z n i e n i e m człowieka; tak dopiero przyrasta do człowieka to, co się później jego „duszą” zowie. Cały świat wewnętrzny, początkowo cienki, jakby wciśnięty między dwa naskórki, róż rósł się i wyrósł, nabrał głębi, szerzy, wysokości, w miarę, jak z a h a m o w a n e zostało wyładowywanie się człowieka na zewnątrz. Owe straszne obwarowania, którymi organizacja państwowa broniła się przeciw dawnym instynktom wolności — kary przede wszystkim należą do tych obwarowań -, sprawiły, że wszystkie owe instynkty starego, wolnego, koczowniczego człowieka zwróciły się wstecz, p r z e c i w c z ł o w i e k o w i s a m e m u. Wrogość, okrucieństwo, uciecha z prześladowania, z napadania, ze zmiany i zniszczenia — wszystko to, zwrócone przeciw posiadaczom takich instynktów, o t o początek "nieczystego sumienia". Człowiek, który z braku zewnętrznych wrogów i oporów, wtłoczony w gniołącą cieśń i prawidłowość obyczaju, niecierpliwie sam siebie targał, prześladował, gryzł, zakłócał i katował, to o kraty swej klatki raniące się zwierzę, które się chce „obłaskawić”, ten nędzarz, czujący brak i trawiony tęsknotą za pustynią, który z samego siebie stwarzać sobie musiał przygodę, miejsce tortury, puszcę niepewną i niebezpieczną — ten szaleniec, ten stęskniony i rozpaczony więzień stał się wynalazcą „nieczystego sumienia”. Od niego jednak rozpoczęła się największa i najstraszniejsza choroba, z której ludzkość po dziś dzień nie ozdrowiała, człowiek rozchorował się n a c z ł o w i e k a, n a s i e b i e s a m e g o: wskutek gwałtownego odcięcia się od przeszłości zwierzęcej, niejako skoku i runięcia w nowe położenie i warunki bytu, wskutek wypowiedzenia wojny starym instynktom, na których polegała dotąd jego siła, uciecha i straszliwość. Dodajmy do tego natychmiast, że z drugiej strony wraz z duszą zwierzęcą, zwracającą się przeciw samej sobie, stojącą po stronie przeciwnej sobie samej, zaszło na ziemi coś tak nowego, głębokiego, niesłychanego, zagadkowego, w sprzeczność i p r z y s z ł o ś ć b r z e m i e n n e g o, że widok ziemi zmienił się zasadniczo. W samej rzeczy, trzeba było boskich widzów, aby godnie uczcić widowisko, które się wówczas zaczęło i którego końca jeszcze dziś wcale przewidzieć nie można, — widowisko zbyt subtelne, zbyt cudowne, zbyt paradoksalne, aby mogło się odegrać niedorzecznie, niepostrzeżenie na jakiejś śmiesznej gwieździe! Odtąd człowiek należy do najbardziej nieoczekiwanych i wzruszających rzutów szczęścia, w które gra „wielkie dziecko” Heraklita, — czy się zwie Zeusem czy Przypadkiem, - wzbudza dla siebie zajęcie, napięcie uwagi, nadzieję, nieledwo pewność, jak gdyby coś się nim zwiastowało, coś przygotowywało, jak gdyby człowiek nie był celem, lecz tylko drogą, ogniwem, mostem, wielką obietnicą...

17.

Do założenia tej hipotezy początku nieczystego sumienia należy po pierwsze to, że owa przemiana nie była wcale stopniowa, wcale dobrowolna i nie przedstawiała się jako organiczne wrastanie w nowe warunki, lecz jako przełom, jako skok, mus, nieodparta fatalność, przeciw którym nie było żadnej walki, ani nawet żadnego ressentiment. Po drugie jednak i to, że przystosowanie się nie hamowanej dotąd i nie ukształconej ludności do stałej formy, jak zaczęło się gwałtem, tak też samymi gwałtami do końca doprowadzone zostało; że najstarsze „państwo”, wedle tego wystąpiło i dalej działało jako tyrania straszliwa, jako miażdżąca i bezwzględna maszynerya, aż wreszcie taki surowy materiał ludu i półzwierząt nie tylko ugniótł się i stał się podatny, lecz także został u f o r m o w a n y. Używam wyrazu „państwo”: wiadomo, co przez to rozumiem — jakąś gromadę płowowłosych drapieźców, rasę zdobywców i panów, która, zorganizowana na sposób wojenny, i posiadając moc do organizowania, kładzie bez skrupułu swe straszliwe łapy na ludność może liczebnie nieskończenie wyższą, lecz jeszcze bezkształtną, jeszcze koczowniczą. Tak przecie poczyną się „państwo” na ziemi: sądzę, że pozbyto się owego marzenia, które kazało mu powstawać drogą „umowy”. Kto rozkazywać umie, kto jest z natury „panem”, kto gwałtem sobie poczyną w każdym ruchu i dziele, — cóż ma taki do czynienia z umowami? Takie istoty nie są obliczalne, przychodzą jak przeznaczenie, bez powodu, wbrew rozumowi, bez względu, pozorów, zjawiają się, jak grom się zjawia, zbyt strasznie, zbyt nagle, zbyt przekonywająco, zbyt „inaczej”, by nawet nienawidzone być mogły. Dzieło ich jest instynktownym tworzeniem form, wyciskaniem form, są to najbardziej poniewolni, najnieświadomszy artyści, jacy istnieją. Gdzie się pojawiają, jawi się wkrótce coś nowego, twór władczy, który ż y j e, w którym części i funkcje zostały odgraniczone i uzależnione, w którym nie znajdzie miejsca nic wogóle, w co wprzód nie został włożony „sens” odnośnie do całości. Oni nie wiedzą, ci urodzeni organizatorowie, co wina, co odpowiedzialność, co wzgląd; rządzi nimi ów straszliwy egoizm twórcy, który patrzy jak spiż i czuje się, jak matka przez dziecię swoje, z góry usprawiedliwionym przez swe „dzieło” na wieki. To n i e w n i c h wyrosło nieczyste sumienie, rozumie się z góry, — aleby nie było wyrosło b e z n i c h to obrzydłe zielsko, brakłoby go, gdyby pod naciskiem ich młotów bijących, ich potęgi twórczej pewne olbrzymie quantum wolności nie zostało usunięte ze świata, przynajmniej z widoku i niejako wprowadzone w s t a n u t a j e n i a. Tym wprowadzonym gwałtownie w stan utajenia i n s t y n k t e m w o l n o ś c i — pojęliśmy to już, - tym wstecz wypartym, cofniętym, wewnątrz uwięzionym i w końcu znajdującym ujście i upust jeszcze tylko na sobie samym instynktem wolności: tem i tylko tem jest w swym zaczątku n i e c z y s t e s u m i e n i e.

18.

Strzeżmy się pomiać całem tem zjawiskiem już dlatego, że od razu jest szpetne i bolesne. W gruncie rzeczy jest to przecie ta sama siła czynna, która u owych potężnych twórców i organizatorów działa wspanialej i buduje państwa, aktora tutaj, wewnętrzna, mniejsza, małosłowska, na wstecz skierowana, w „labiryncie piersi”, mówiąc z Goethym, stwarza sobie nieczyste sumienie, buduje ideały negatywne, to właśnie ów i n s t y n k t w o l n o ś c i (mówiąc moim językiem: wola mocy). Tylko że tworzywem, które urabia kształtującą i gwałcicielska natura owej siły, jest właśnie sam człowiek, jego cała zwierzęca stara jaźń, — a n i e, jak w owym większym, najoczniejszym zjawisku, i n n y człowiek, i n n i ludzie. To tajne gwałcenie siebie, to okrucieństwo twórcze, ta uciecha nadawania kształtu sobie samemu, jako ciężkiemu, opornemu, cierpiącemu tworzywem, uciecha wypalania na sobie woli, krytyki, sprzeczności, pogardy, zaprzeczenia, ta niesamowita i przerażająco rozkoszna robota dobrowolnie rozdwojonej w sobie duszy, która sobie ból zadaje z rozkoszy zadawania bólu, całe to a k t y w n e „nieczyste sumienie”, jako macierzyńskie łono idealnych i wyobraźniowych wydarzeń — jak to już zgadnąć można — wywiodło ostatecznie na światło także całą pełnię nowej dziwnej piękności i potwierdzenia, a może wogóle dopiero po raz pierwszy piękno samo... Cóżby bowiem było „pięknem”, gdyby w pierw sprzeczność nie uświadomiła się samej sobie, gdyby w pierw brzydota nie powiedziała samej sobie: „jestem brzydka”?... Po tej wskazówce przynajmniej będzie mniej zagadkowa zagadka, o ile w pojęciach zaprzecznych, jak b e z o s o b o w o ś ć, z a p a r c i e s i ę s i e b i e, o f i a r a, wyraża się ideał, piękność. I jedno odtąd wiadomo — nie wątpię -, mianowicie w jakim rodzaju od początku jest r o z k o s z, którą odczuwa bezosobowy, samozapierający się, samoofiarny: rozkosz ta należy do

okrucieństwa. - Tyle tymczasem co do pochodzenia „nieegoistyczności”, jako wartości m o r a l n e j, i celem wyznaczenia gruntu, z którego wartość ta wyrosła: dopiero nieczyste sumienie, dopiero wola samoderżania jest warunkiem w a r t o ś c i pierwiastku nieegoistycznego.

19.

Chorobą jest nieczyste sumienie, to nie ulega wątpliwości, lecz chorobą taką, jaką jest ciąża na przykład. Poszukajmy warunków, wśród których choroba ta doszła do najstraszniejszego i najwyższego szczytu: — zobaczymy, co z tą chwilą właściwie dopiero na świat przyszło. Do tego potrzeba jednak długiego oddechu, — i przede wszystkim musimy raz jeszcze wrócić do dawniejszego punktu widzenia. Prywatno-prawny stosunek dłużnika do wierzyciela, o którym już obszerniej mowa była, został raz jeszcze, a to w sposób historycznie zupełnie podziwu godny i zastanawiający, wciągnięty jako tłumaczenie w stosunek, gdzie dla nas, ludzi nowoczesnych, jest może najniezrozumialszy. Mianowicie w stosunek ludzi t e r a ż n i e j s z y c h do swych p r z o d k ó w. W łonie pierwotnych związków rodowych — mówimy o praczasach - każde z kolei pokolenie uznaje wobec pokolenia dawniejszego, a w szczególności wobec najdawniejszego, wobec założycieli rodu, pewien obowiązek prawny (nie zaś jedynie zobowiązanie uczuciowe: ostatniego możnaby nawet nie bez powodu wogóle zaprzeczyć, o ile dotyczy najdłuższego okresu rodzaju ludzkiego). Panuje tu przekonanie, że r ó d i s t n i e j e tylko dzięki ofiarom i świadczeniom przodków — i że trzeba im je ofiarami i świadczeniami o d p ł a c a ć. Tem samym uznaje się d ł u g, który przez to jeszcze ustawicznie narasta, że przodkowie ci w dalszym ciągu swego istnienia, jako potężne duchy, nie przestają używać rodowi nowych korzyści i nowych zadatków. Czy darmo? Lecz dla owego nieokrzesanego i „ubogiego duchem” okresu nie istnieje żadne „darmo”. Czemże można im się odplacić? Ofiarami (z początku dla pożywienia, w najgrubszym rozumieniu), świątami, kaplicami, oznakami czci, przede wszystkim posłuszeństwem — gdyż wszystkie zwyczaje, jako dzieła przodków, są też ich ustawami i rozkazami. Czy aby zadowala się ich kiedykolwiek? Ta obawa pozostaje i rośnie: co pewien czas wymusza ona wielką ryczałtową wypłatę, coś potwornego na rzecz „wierzyciela” (osławiona ofiara z pierwocin na przykład, krew, krew ludzka w każdym wypadku). S t r a c h przed praszczurem i jego mocą, świadomość długów względem niego wzmagają się koniecznie wedle tego rodzaju logiki zupełnie w tej mierze, w jakiej wzrasta moc samego rodu, w jakiej sam ród staje się coraz bardziej zwycięski, niezależny, czcią i obawą przejmujący. Nie zaś odwrotnie! Każdy krok ku upadkowi rodu, wszystkie nieszczęsne przypadki, wszystkie oznaki zwyrodnienia i ujawniającego się rozkładu z m n i e j s z a j a raczej zawsze także strach przed duchem jego założyciela i coraz bardziej wyobrażenie o jego mądrości, przezorności i obecności jego mocy. Jeśli się rzecz przemyśli tym surowym rodzajem logiki do końca, to ostatecznie przodkowie n a j p o t ę ż n i e j s z y c h rodów muszą, dzięki wyobraźni rosnącej trwogi, sami wyrósć do potworności i usunąć się w mrok boskiej tajemniczości i niewyobrażalności: — praszczur przekształca się ostatecznie z konieczności w boga. Może tu jest sam początek bogów, a więc początek ze s t r a c h u rodem!... A komu by się wydawało, że należy dodać: „ale i z pobożności!” temu by trudno było zostać przy racji w stosunku do owego najdłuższego okresu ludzkiego rodzaju, jego praczasów. Za to tem bardziej, oczywiście, co do okresu ś r e d n i e g o, kiedy powstają rody dostojne, które rzeczywiście swym praszczurem, swym przodkom (bohaterom, bogom) z odsetkami oddały wszystkie te właściwości, które tymczasem w nich samych się ujawniły, właściwości dostojne. Na uszlachcenie i uszlachetnienie bogów (które oczywiście nie jest ich „uświęceniem”) rzucimy później raz jeszcze okiem. Tymczasem wytknijmy jeno do końca drogę tego rodzaju świadomości winy.

20.

Świadomość długu względem bóstwa, jak nauczają dzieje, nie ustala wcale po upadku opartej na związkach krwi, organizacyjnej formy „gminy”. Ludzkość w ten sam sposób, w jaki odziedziczyła pojęcia „dobry i zły” po szlachcie rodowej (wraz z jej psychologiczną zasadniczą skłonnością porządkowania wedle stopni), otrzymała wraz z dziedzictwem bóstw rodowych i szczepowych także dziedzictwo ucisku niespłaconych jeszcze długów i pragnienie wywiązania się z nich. (Przejdźcie tworzą owe liczne ludy niewolników i poddanych, które przystosowały się do boskiego kultu swych panów, czy to pod przymusem, czy przez uległość i mimicry. Od nich później przelewa się to dziedzictwo na wszystkie strony). Uczucie dłużnicze względem Boga nie przestało wzrastać przez kilka tysiącleci i to ustawicznie w tym samym stosunku, w jakim

pojęcie i poczucie boga rośnie na ziemi i wznosi się w górę. (Całe dzieje walk etnicznych, zwycięstw, zawierania pokoju, stapienia się, wszystko, co poprzedza w każdej wielkiej syntezie ras ostateczne ustąpienie wszystkich elementów ludowych, odzwierciedla się w genealogicznej gmatwaninie jej bogów, w podaniach o ich walkach, zwycięstwach i pojednaniach; postęp ku państwom uniwersalnym jest zawsze także postępowaniem ku uniwersalnym bóstwom, despotyzm z swym pogwałceniem niezależnej szlachty toruje też zawsze drogę jakiemuś monoteizmowi). Zjawieniu się chrześcijańskiego Boga, jako największego Boga, jakiego dotąd osiągnięto, towarzyszyło też na ziemi maximum poczucia długu. Przypuściwszy, żeśmy właśnie rozpoczęli ruch o d w r o t n y, to możnaby też z prawdopodobieństwem wcale nie małym wnosić z niepowstrzymanego upadku wiary w chrześcijańskiego Boga, że teraz już spełnia się także zasługujący na uwagę upadek ludzkiej świadomości długu; ba, nie można odrzucać widoków, iż zupełne i ostateczne zwycięstwo ateizmu mogłoby zgoła uwolnić ludzkość od tego uczucia, że posiada dług wobec swego początku, swej causa prima. Ateizm i pewien rodzaj w t ó r e j n i e w i n n o ś c i idą z sobą w parze.

21.

Tyle tymczasem w krótkości i z grubsza o związku pojęć „długu”, „obowiązku” z założeniami religijnymi. Umyślnie pozostawiłem dotąd na uboczu właściwe umoralnienie tych pojęć (wtłoczenie ich w dziedzinę sumienia, jeszcze dokładniej, poplątanie nieczystego sumienia z pojęciem boga) i mówiłem nawet na końcu poprzedniego rozdziału, jak gdyby owo umoralnienie wcale nie istniało, stąd też, jakoby pojęcia te z konieczności miały się już ku końcowi, skoro upadło ich założenie, wiara w naszego „wierzyciela”, w Boga. Istotny stan rzeczy różni się od tego w sposób straszliwy. Umoralnienie pojęć długu i obowiązku, wtłoczenie ich w n i e c z y s t e sumienie daje właściwie próbę o d w r ó c e n i a kierunku opisanego dopiero co rozwoju, przynajmniej zastanowienia jego ruchu: teraz p o w i n n y właściwie widoki ostatecznego wywiązania się zniknąć pesymistycznie raz na zawsze, teraz spojrzenie p o w i n n o beznadziejnie odbić się od spóźnionej niemożliwości, cofnąć się, teraz p o w i n n y pojęcia „długu” i „obowiązku” zwrócić się wstecz — przeciw k o m u jednak? Nie można wątpić: najpierw przeciw „dłużnikowi”, w którym obecnie nieczyste sumienie tak się zagnieżdża, wżera, rozpięra i na kształt polipa wszereje i głąb rośnie, aż w końcu z niemożności wywiązania się z długu powstaje koncepcja niemożności wywiązania się z pokuty, myśl o jej nieodpłatności (o „karze w i e c z n e j”) — w końcu jednak nawet przeciw wierzycielowi. Przypomnijmy sobie o causa prima człowieka, o początku rodzaju ludzkiego, o jego praojcu, który dotąd obciążony jest klątwą („Adam”, „grzech pierworodny”, „niewolność woli”), lub o naturze, z której łąna człowiek powstaje i w którą obecnie wkłada się zły pierwiastek („udyablenie przyrody”), lub o istnieniu wogóle, które pozostaje jako „n i c w a r t o s a m o w s o b i e” (nihilistyczne odwrócenie się od niego, pożądanie nicości lub pożądanie jego „przeciwieństwa”, innego istnienia, buddyzm i rzeczy pokrewne) — aż naraz znajdujemy się przed paradoksalnym i przerażającym wybiegiem, w którym znękana ludzkość czasową znalazła ulgę, przed genialnym figlem c h r z e ś c i j a n s t w a: Bóg ofiaruje samego siebie za dług człowieka, Bóg samym sobą płaci samemu sobie, Bóg tym jedynym, który może wyzwolić człowieka, od czegooby on sam nigdy wyzwolić się nie mógł. Dłużnik ofiaruje się za swego wierzyciela, z m i ł o ś c i (mamyż w to wierzyć? -), z miłości dla swego dłużnika!...

22.

Już prawie da się zgadnąć, c o się przy tem wszystkim i p o d tem wszystkim działo. Widzimy ową chęć samoderżenia, owo w głąb cofnięte okrucieństwo uewnętrznionego, w siebie zapędzonego człowieka-zwierza, celem obłąskawienia „w państwo” i zamkniętego więźnia, który wynalazł nieczyste sumienie, by sobie ból zadawać, skoro n a t u r a l n e ujęcie tej chęci zadawania cierpienia zostało zatamowane. Ten człowiek z sumieniem nieczystym oświadczył założeniem religijnym, by swoją samoderżkę doprowadzić do najokropniejszej srogości i surowości. Wina przeciw B o g u!... Ta myśl staje się dlań narzędziem tortury. Ujmuje w „Bogu” krańcowe przeciwieństwa, jakie dla swych właściwych i nieodłącznych instynktów zwierzęcych mógł wynaleźć, przeinacza te instynkty zwierzęce w winę przeciw Bogu (jako wrogość, opór, bunt przeciw „panu”, „ojcu”, źródłu i początkowi świata), wprzęga się w sprzeczność „Boga” i „dyabła”, wyrzuca z siebie wszelkie zaprzeczenie siebie samego, natury,

naturalności, faktycznej swej istoty, jako potwierdzenie, jako byt, cielesność, rzeczywistość, jako Boga, jako świętość Boga, jako sędziostwo Boga, jako katostwo Boga, jako zaświat, jako wieczność, jako katuszę bez końca, jako piekło, jako niezmierność kary i winy. Jest w tem okrucieństwie duchowem rodzaj szaleństwa woli, nie mającego bezwzględnie nic sobie równego: w o l a człowieka uważania siebie za winnego i godnego potępienia aż do niemożliwości pokuty; jego woła c z u ć się skarany, bez nadziei, że kara winę zrównoważyć może; jego w o l a, by najgłębsze dno rzeczy zarazić i zatruć problematem kary i winy, by raz na zawsze odciąć sobie odwrót z tego labiryntu -" idee fixe" jego woła wzniesienia ideału - ideału „świętego Boga" — by w obliczności jego być dotykalnie pewnym swej bezwzględnej niegodności! Och, to szalone, smutne zwierzę człowiecze! Jakież nachodzą je pomysły, jakież pogwałcenia natury, jakież paroksyzmy głupstwa, jakież b e s t y a l s t w o i d e i wystrzela natychmiast, skoro tylko przeszkodzi się mu być b e s t y j ą w c z y n i e!... Wszystko to jest aż nadmiernie zajmujące, lecz także pełne czarnego, posępnego, denerwującego smutku, że trzeba przemocą bronić się zbyt długiemu patrzeniu w te bezdnie. Tkwi tu c h o r o b a, nie ulega wątpliwości, najstraszniejsza choroba, jaka dotychczas w człowieku szalała: — a kto jeszcze usłyszeć zdołał (lecz dziś nie ma się już uszu na to! -), jak wśród tej nocy katuszy i niedorzeczności brzmiał krzyk m i ł o ś c i, krzyk tęskniącego zachwytu, wybawienia w m i ł o ś c i, ten odwróci się, przejęty niezwykłą grozą... W człowieku jest tyle przerażającego!... Ziemia za długo już była domem waryatów!...

23.

Niech to wystarczy raz na zawsze odnośnie do pochodzenia „świętego Boga". — Że pojęcie bogów s a m o w s o b i e nie koniecznie prowadzi do tego pogorszenia fantazyi, którego uprzytomnienia ani na chwilę nie wolno nam było sobie oszczędzić; że istnieją d o s t o j n i e j s z e sposoby posługiwania się zmyśleniem bogów, niż samokrzyżowanie i samohańbienie człowieka, w czem ostatnie stulecia Europy doszły do mistrzostwa, — to daje się na szczęście wysnuć z każdego spojrzenia, rzuconego na b o g ó w g r e c k i c h, na te odzwierciedlenia ludzi dostojnych i wielmożnych, w których z w i e r z ę ludzkie czuło się ubóstwionem, n i e rozdzierało zaś samego siebie, nie wściekało się na siebie samo! Grecy posługiwali się przez najdłuższy okres czasu swoimi bogami, by właśnie zdaleka od siebie trzymać "nieczyste sumienie ", by móc cieszyć się z swej wolności duszy: więc w rozumieniu odwrotnem, niż chrześcijaństwo swego używało Boga. Posuwały się w tem bardzo daleko te przepyszne istoty o lwich sercach a głowach dzieci. I nie mniejszy autorytet jeno sam Zeus homerowski, daje im kiedy niekiedy do zrozumienia, że biorą to nazbyt lekce. "Dziwna! mówi on raz — chodzi o sprawę Egistosa, b a r d z o złą sprawę - "Dziw, że tak bardzo śmiertelni skarżą się jednak Na bogów! Z ł o o d n a s t y l k o p o c h o d z i, sądzą; lecz sami ściągają na się nieszczęścia przez swój nierozum, wbrew „przeznaczeniu.." Jednak widzi się i słyszy zarazem, że i ten olimpijski widz i sędzia daleki jest od tego, by gniewać się na nich za to i źle myśleć o nich. „Jakże oni g ł u p i!" myśli, patrząc na występki śmiertelnych. „Głupstwo", „brak rozumu", nieco „zaburzenia w głowie", to tylko p r z y p u s z c z a l i Grecy nawet najtęższych, najdzielniejszych czasów, jako powód wielu złego i fatalnego. Głupota, n i e grzech! Rozumiecie to?... Jednak nawet to zaburzenie w głowie było problematem. „Bo jakżeż to też możliwe? Skądby się wzięło w głowach, jakie m y mamy, my ludzie pochodzenia szlachetnego, szczęśliwi, pomyślnie udani, najlepszego towarzystwa, dostojni i cnotliwi?" — Tak pytał siebie przez stulecia dostojny Grek, w obliczu niezrozumiałej dla siebie zdrożności i występku, którymi splamił się ktoś z jemu równych. „Musiał go pewno b ó g dotknąć szaleństwem", mówił sobie w końcu, potrząsając głową... Ta konkluzya jest t y p o w o grecka... W ten sposób służyli wówczas bogowie jako usprawiedliwienie człowieka do pewnego stopnia nawet w lichem, służyli jako przyczyna zła — wówczas brali na siebie nie karę, lecz, co jest d o s t o j n i e j, winę...

24.

Kończę trzema znakami pytania, widać to dobrze. „Czy właściwie stawia się tu jakiś ideał, czy się go obala?" Takie spotka mnie może pytanie... Lecz czyście też siebie samych pytali dość, jak drogo opłaca się na ziemi wzniesienie k a ż d e g o ideału? Ile rzeczywistości trzeba było na to zawsze oczernić i niezrozumieć, ile kłamstw uświęcić, ile sumień zburzyć, ile z „boga" każdym razem w ofierze złożyć? By móc jakąś świętość wnieść, t r z e b a j a k ą ś w i ę t o ś ć z b u r z y ć: to jest prawo — pokażcie mi wypadek, w którymby się nie

spełniło!... My, ludzie nowocześni, jesteśmy spadkobiercami wiwisekcyi sumienia i samodręczenia się zwierząt od tysiącoleci: w tem mamy najdłuższe ćwiczenie, swój artyzm może, w każdym razie swe wyrafinowanie, swój smak zepsuty. Człowiek zbyt długo „złem spojrzeniem obserwował swe przyrodzone skłonności, tak że ostatecznie zawarły w nim siostrzany związek z "nieczystym sumieniem". Usiłowanie odwrotne byłoby s a m o w s o b i e możliwe — lecz któż jest dość silny na to? -, to jest, by n i e n a t u r a l n e skłonności, wszystkie owe aspiracje do zaświata, do tego, co przeciwne zmysłom, instynktowi, naturze, zwierzęciu, krótko, dotychczasowe ideały, które wszystkie razem wrogie są życiu i oczerniają ziemię, połączyć z nieczystym sumieniem siostrzanym związkiem. Do kogo zwrócić się dziś z takimi nadziejami i wymaganiami?... Właśnie d o b r y c h ludzi miałyby się tem samym przeciw sobie; nadto, co słuszna, wygodnych, pojednanych, próżnych, marzycieli, znużonych ... Cóż obraża głębiej, cóż rozdziela gruntowniej niż to, że się daje coś niecoś do poznania z surowości i wyżywności, z jaką traktuje się samego siebie? I znowu — jakże uprzedzającym, jakże uprzejmym dla nas okazuje się świat cały, skoro czynimy jak świat cały i folgujemy sobie jak cały świat!... Potrzebaby do owego celu i n n e g o rodzaju duchów, niż te, które w tym właśnie możliwe są okresie: duchów, przez wojny i zwycięstwa wzmocnionych, którymby zdobywanie, przygoda, niebezpieczeństwo, ból nawet potrzebą się stały; trzebaby na to nawyknienia do ostrego wysokiego powietrza, do zimowych wędrówek, do lodu i gór w każdym znaczeniu, trzebaby na to pewnego rodzaju wzniosłej złości, ostatecznego najpewniejszego siebie zuchwalstwa poznania, które jest właściwe wszelkiemu zdrowiu, trzebaby, mówiąc krótko i dość źle, właśnie tego w i e l k i e g o z d r o w i a!... Lecz czyż to dziś, właśnie jest choćby tylko możliwe?... Lecz kiedyś, w czasach silniejszych, niż ta zbutwiała, samozwątpiała terażniejszość, musi nam się zjawić przecie ten w y z w a l a j ą c y człowiek wielkiej miłości i pogardy, duch twórczy, którego napór sił własnych ciągle wygania z wszelkich uboczy i zaświatów, którego samotności tłum nie rozumie, jak gdyby ona była ucieczką przed rzeczywistością; tymczasem jest ona tylko jego zanurzeniem się, zagrzebaniem, zagłębieniem w rzeczywistość, by stamtąd kiedyś, gdy znowu wróci na światło, mógł w y z w o l e n i e przynieść tej rzeczywistości: jej wyzwolenie od przekleństwa, którym obarczył ją dotychczasowy ideał. Ten człowiek przyszłości, który nas tak samo od dotychczasowego wyzwoli ideału, jak i od tego, c o z e n w y r ó ś ć m u s i a ł o, od wielkiego wstrętu, od woli nicości, od nihilizmu, ten dzwon bijący południa i wielkiego rozstrzygnięcia, dzwon, który wolę znów wolną uczyni, który wróci ziemi jej cel, a człowiekowi jego nadzieję, ten antychryst i antynihilista, ten zwycięzca Boga i nicości — p r z y j ś ć k i e d y ś m u s i...

25.

Lecz cóż to prawię? Dość! Dość! W miejscu tem godzi mi się jedno tylko, milczeć: targam się bowiem na coś, co wolno jeno komuś młodszemu, komuś „bardziej przyszłemu”, silniejszemu, niż ja jestem, — co wolno jedynie Z a r a t u s t r z e, Z a r a t u s t r z e b e z b o ż n i k o w i...

(Publikacja: 10-01-2004)

Oryginał.. (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3179>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl